

Matka przyszłej królowej Albanii opowiada o swej córce

„Paris Soir” przynosi wywiad swego korespondenta z matką przyszłej królowej Albanii, ex hrabiny Apponyi, która po śmierci męża wyszła po raz drugi za mąż za francuskiego oficera p. Girault i mieszka obecnie stale w Nicei.

„O zaręczynach mojej córki z królem Jugu dowiedziałam się z jej listu, pisanego z Tirany, do której ostatnio udała się.

Miłość króla do Geraldyny zaczęła się bardzo niezwykle. Oto król zakochał się w jej fotografii. A dowiedziawszy się, czyja to podobizna posłał do niej specjalnego wysłannika, któryby ją uprosił do przybycia do Tirany.

Geraldyna udała się tam ze swoja babką. Gdy król oświadczył się jej, córka moja wahała się z odpowiedzią, gdyż nie mogła się zdecydować na zmianę religii, co jest warunkiem koniecznym, aby mogła zostać królową Albanii.

„W liście tym pisze mi jeszcze córka, że zamierza jeszcze przed swoim ślubem odwiedzić mnie w Nicei. Oto wszystko co mogę pa nu powiedzieć na temat małżeństwa mojej córki.

MATKA PRZYSZŁEJ KRÓLOWEJ

Pani Girault, ex hrabina Apponyi, piękna kobieta, po której widocznie hrabinka wzięła swą ośniewającą urodę, nie wygląda na matkę dorosłej córki. Wysoka, szmuler o ujmującym uśmiechu, gdyby nie siwiejące włosy sprawiałaby wrażenie młodej osoby.

Z pochodzenia jest Amerykanką a historia jej małżeństwa z

hrabią Apponyi jest prawie tak romantyczna, jak obecnie miłość jej córki.

ROMANTYCZNE MAŁŻEŃSTWO

Panna Gladys Virginia Steward w roku 1914 znajdowała się w Paryżu, gdzie dzięki swej ośniewającej urodzie królowała w kółach zbliżonych do ambasady amerykańskiej.

Pewnego dnia na przyjęciu u Ritza poznała ona hr. Juliusza Apponyi, szambelana cesarza Franciszka Józefa, wnuka ambasadora austro-węgierskiego w Paryżu. Poznała i... pokochała. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, gdyż już w 6 dni po poznaniu ogłoszono oficjalne zaręczyny.

Tu jednak miłości stanęła na przeszkodzie wojna. Z chwilą jej wybuchu hr. Apponyi został odwołany na Węgry. Trzeba więc

było zrezygnować z wielkich przygotowań jakie już poczyniono do mającego się odbyć wspaniałego ślubu.

Ponieważ francuska procedura prawna była zbyt powolna, młodzi ludzie wyjechali do Genewy i tu w skromnym kościółku odbył się ślub.

WOJNA I REWOLUCJA

Wojnę przeżyła hrabina z rodziną w Budapeszcie, lub w Słowacji w rodzinnych majątkach Apponyi. Po wojnie gdy wybuchła rewolucja Bela Kun, hrabiemu udało się otrzymać stanowisko w Szwecji dokąd udał się z rodziną na parę dni przed masakrą. Gdy rewolucja została stłumiona hr. Apponyi wraz z córkami i synem wrócił na Węgry.

W 1924 r. wdowa zamieszkała w Mentonie, gdzie poznała obecnie swego męża.

Z teatru o teatrze

Jatki i elfy

TEATR NARODOWY. „BALLADYNA” — TRAGEDIA W 12-TU OBRAZACH JULIUSZA SŁOWACKIEGO, W INSCENIZACJI I OPRAWIE TEATRALNEJ FERDY NANDA RUSZCZYCA.

Owszem, można o „Balladynie” mówić, że jest to dziwaczny kaprys poety, który nie licząc się z logiką i rzeczywistością, zapragnął dać wyraz swojemu niepoprawnie romantycznemu smokowi. Owszem, można twierdzić, że jest to widowisko ponure i nielogiczne, krwawe i odpychające, że za dużo w nim jatek, pełnych świeżego mięsa, za dużo trupów, że Balladyna jest zanadto zbrodniczą wiedźmą, Pastelnik zanadto płaskim ramolem, że dowolność, na jakie sobie Słowacki pozwolił, są zbyt duże, że wreszcie cała ta wyimaginowana tragedia nie bardzo pasuje do sceny.

Wszystko to jest słuszne, lub — prawie słuszne. Nie wyklucza jednak wcale innego stosunku do „Balladyny”, stosunku pełnego sympatii. „Balladyna” — to bajka. Fantastyka, kolorowa, sensacyjna. Bajka o bogatej treści, złożonej z rozmaitych pierwiastków, przedziwne ze sobą zmieszanych, pełna momentów wywołujących u widza czy słuchacza uczucia o różnej jakości i różnym napięciu. Balladyna budzi grozę, Alina — współczucie. Matka wdowa swą miłością do zbrodniczej córki wywołuje pełen szacunku podziw, Grabiec — śmiech, Filon — niechęć, a Goplana i jej duszki — zachwyt.

Właśnie Goplana, Skierka i Chochlik nadają „Balladynie” charakter

pelen uroku. Elfy wprowadzają w świat ludzi technię poezji i piękna. Zło płynie nad światem i zatruwa dusze ludzi jadem zbrodni. Namietności, żądza władzy i bogactw kierują ludźmi, zabijają w nich miłość, współczucie i szlachetność. Ale zbrodnie, które napełniają grozą świat ludzi, obce są w świecie elfów. W tym świecie stworzonym przez wyobraźnię głodną piękna panuje harmonia. Rządzi nim poezja i miłość. Ucieczka w świat wyobraźni przynosi ulgę: pozwala zapomnieć o zbrodniach, widzianych w świecie rzeczywistości. Elfy sprawiają, że „Balladyna” jest mimo wszystko piękna.

Przedstawienie w teatrze Narodowym było hołdem wyrażonym pamięci Ruszczyca. Z pietyzmem zachowano jego inscenizację i oprawę dramatu. Pietyzm godny pochwały. Czy jednak nie można było połączyć owego pietyzmu z silniejszym zaakcentowaniem baśniowego nastroju widowiska? Można przypuszczać, że w ten sposób „Balladyna” zyskałaby na wdzięku. Szkoda, że reżyser Osterwa nie postarał się o to. Co powinien był zrobić, aby we właści-

Kursy dla przewodników po Warszawie

Oddział warszawski Pol. Tow. Krajoznawczego organizuje kursy dla przewodników, które rozpoczną się 10 bm. Zapisy przyjmowane będą przez biuro Tow. do 8 bm. od g. 11 do 14 i od g. 17 do 20.

Pani moda ma głos

Bal podłotków

Luty — to miesiąc przyjęć, najbardziej ożywiony sezon towarzyski; wizyty, rauty, brydże, podwieczorki taneczne — tysiąc okazji do „wprowadzenia w świat” podłotki.

Kto uważnie obserwuje salę balową — napewno zauważy dziwaczny paradoks: panie w wieku... mocno balzakowskim i o obfitszych kształtach prezentują najbardziej młodociane kreacje z jasnych tiulów i białych jedwabi — natomiast prawdziwe podłotki, młodzieńskie panieczki noszą suknie o wiele dla nich za poważne — z czarnej tafty, ciężkiego aksamitu — perły na szyi i błyszczące przepaski na włosach... Pamiętajmy śliczną blondynkę, dziecko prawie o chudych jak patyczki rączkach i głębokich „soliczkach” (to chucherkę nie miało więcej niż 15 lat!) ubraną w czarną taftową suknię, ściśle do-

pasowaną do nieukształtowanej jeszcze figurki i z dużym dekoltem na plecach. Wyglądała żałośnie jak wychudzone piskle. To samo dziewczętko w białej tiulowej krynolinie lub w białoróżowej sukience z błękitnymi wstążkami zwracałoby uwagę młodzieńców wdziękiem i świeżością.

TRZY POKOLENIA NA BALU

Prawda, że minęły już czasy, kiedy moda była bezlitosna dla „starszych” pań... około trzydziestki; jeszcze w r. 1900 — panny nosiły na balu suknie zmuszki i gazy, a młode mężatki — choćby osiemnastoletnie — obowiązywały już poważna moda w stylu empire z ciężkich złocistych atlasów, gipiurów koronek, aksamitów i sznelki. Dziś obowiązuje „wieczna młodość” i dwa, nieraz trzy pokolenia — babka, matka i córka idą razem na bal w toalecie o podobnym kroju i z tego samego materiału...

Tak, ale pamiętajmy, że suknia balowa ma podnosić naszą urodę, a nie gasić ją — wszystkie chcemy ładnie na balu wyglądać, a co dopiero podłotki w chwili pierwszego debiutu na światowej scenie? A najpiękniejszą suknią straci swój efekt, jeśli będzie nieodpowiednią oprawą urody właścicielki. Więc...

Więc podłotki niech pamiętają o kilku przykazaniach pani mody. Nie wolno im nosić czarnych sukien, które młodzieńcza smukłość — przemieniają w żałosną chudość. Błada twarzyczka przy czarnej sukni wygląda chorowicie, a znowu nadmiar maquillazu — niepotrzebnie postarza. Nie wolno nosić sukien opiętych, dopasowanych do bioder, ani „zabójczych” dekoltów odsłaniających chude łopatki. Piękne plecy — to przywilej kobiet zupełnie dojrzałych. Dalej trzeba się wystrzeżać poważnych, postarzających materiałów — czarnej i brązowej tafty, aksamitu, lamy. Sukienka musi być jasna, młodzieńcza, powiewna, jaknajprostsza w kroju, nieprzeładowana ozdobami. Balowa Fryzura — gładka lub skrócona w wysoko upięte loki. We włosach podłotki ładnie wyglądają kwiaty — drobne różyczki białe lub białoróżowe — nigdy diadem z strąsów, ozdobne grzebienie, złote przepaski czy cekinowe kapelusiki z woalką, lanowane w tym roku na balach mody.

MODELE DLA PODŁOTKÓW

Na balową sukienkę podłotki

Alinette

Obrazek z życia...

Ulica biega tłumy... Każdy się śpieszy, biegnie... Nic dziwnego, życie to walka o chleb. Dziś tak jak wczoraj, jutro tak jak dziś. Na ulicach miasta tłumy ludzi, a wśród nich wolno posuwa się człowiek. Popychają go przed siebie, a on bezmyślnie ogląda witryny sklepów i

magazynów. Nagle jaśnieje jakaś witryna zwraca blysk migawki. Przestają... Jasny błysk ugnął mu w oczach. Tak, to dobra myśl, i wszedł na Nowym Świecie do kolektory Dzierżanowskiego po los... Chyba się nie zawiedzie, bo tam zawsze pada wiele wygranych.

PAMIĘTAJ O BEZROBOTNYCH NARODOWCACH

JACEK BRZEZINA

10)

PERŁY I KARABINY

POWIEŚĆ

— Sytuacja? Nie ma dużo do opowiadania. Dostarczamy broni Ibn-Seudowi. O tym wiesz. Niestety, trudno to było zrobić via morze Czerwone, więc musieliśmy się przenieść tutaj. Centrala jest w Bagdadzie, ekspozytura dotychczas funkcjonowała w Kuweicie. Pierwszy transport, jak ci mówiłem, zniknął, drugiego spodziewam się za trzy dni!

— Zamówienia duże? — spytał Stanley.

— Nieźle. Miewaliśmy lepsze, choćby w Abisynii, lecz cóż poradzić — takie gratki nie zawsze się zdarzają. W każdym razie lepiej, niż tam u was w Indiach!

Destroy wstał i zaczął spacerować po pokoju. Wreszcie zatrzymał się przed Gordonem i spojrzał mu prosto w oczy. — Słuchaj, stary! Moje i jesteście przebiegły, może myślałeś, że uda ci się ocyganić mnie, to znaczy puścić na wodę z nieświadomością niewinnej dziewczyny, jednak ze mną nie jest tak łatwo! Powiedz mi zaraz, stary wygo — podniósł nieco głos, — jak twoi rodacy, Anglicy, zapatrują się na uzbrajanie Ibn-Seudowskich wojowników?

Gordon zmarszczył się. Jego wydłużona twarz wyglądała w tej chwili jak spieczone jabłko, bezbarwne zwykle oczy ożyły się nagle.

— Moi rodacy? Przecież wiesz, że ja z nimi mam tyle do czynienia, co ty dajmy na to z Chińczykami. To, że nazywam się Canning? To jeszcze mało! Ty przecież również „nazywasz” się Destroy, a Anglikiem jesteś chyba tylko dlatego, że urodziłeś się może na pacy angielskich sucharów czy karabinów. Ja z powodzeniem mógłbym się nazywać Canning! Podobnie — nieprawdaż? No, i co wtedy? Czym bym

był? Murzynem? Nie, mój drogi. Daj mi spokój z moim angielskim pochodzeniem. Ja jestem międzynarodowym człowiekiem interesu. Nie w naszej służbie bawić się w interesy narodowe! — odpasnął dzwoniąc zębami.

Stanley ze spokojem wysłuchał nieco długiej przemowy. — Niech ci będzie — mruknął. — Nie o to chodzi, lecz o to, co Anglicy mają do powiedzenia!

Gordon miał wielką ochotę wykręcić się jak węgorz od tego pytania, lecz zdawał sobie sprawę, że musi ustąpić.

— Jak chcesz! Widzisz, kwestia przedstawia się tak, że właściwie broni nie dostarczamy samemu Ibn-Seudowi, lecz niyb, bez jego wiedzy, pogranicznym plemionom. Chodzi o rację stanu, a właściwie o to, że Anglicy nie chcą się na to zgodzić. Powiedzieli otwarcie, że jeżeli dostarczymy Arabom choćby jeden karabin, to się z nami porachują. Odciepli nam możliwość dostępu do morza Czerwonego, zmusili do pętania się po tych paskudnych wybrzeżach Arabii... Oby im to rodzona babka Wiktoria zapomniiała! Mnie tutaj nie ruszają, bo widocznie wolą mieć mnie na oku. Nie na wiele im się to przyda, lecz mnie z pewnością z choroby nie uleczy. W Kuweicie także wszadają nos w nieswoje sprawy. W zasadzie nie mam zrobić nic mogą, bo to niyb niepodległe państwo (pfu z taką niepodległością — splunął w kąt pokoju) i Emir pocichu nam sprzyja, co zresztą sporo grosza kosztowało. Za to tamtejszy angielski agent polityczny wie aż nazbyt dużo! To chyba i wszystko. Jak więc widzisz, do Flo i Knipperburgera dołącza się jeszcze jeden nasz wróg!

— Tak sądziłem! — Stanley zagłębił się z powrotem w fotelu i otoczył gestami kłębami fajkowego dymu.

— Zaczynam przypuszczać, że posiadasz własności jasnowidza! — zaironizował Gordon.

— Niekoniecznie. Pilot samolotu, którym leciałem i zleciałem musi iść na służbę wywiadu angielskiego. Naumyślnie zboczył z utartego szlaku nad Zatoką, by móc obserwować brzeg Arabii. To nas uratowało od stania się pastwą rekinków, jednak zdradziło jadący transport!

— Pilot zobaczył statek?

— Yes! Razem go obserwowaliśmy. Przypuszczam, że odpowiedni raport o tajemniczym statku, jadącym wzdłuż wy-

brzeży Arabii i o tajemniczym pasażerze (czyli o mnie), interesującym się wschodem słońca nad Zatoką Perską, znajduje się już w tej chwili w odpowiednich rękach.

— Głupia sprawa! — zaklął Gordon. — Transport gotów znowu przepaść!

— O to niema obawy! — zaśmiał się Stanley. — Moja w tym głowa, by tak nie było. Muszę tylko jak najprędzej dostać się do Kuweitu. Sądząc z położenia statku, będzie on jechał jeszcze około dwóch dni na umówione miejsce. Musisz mnie tylko objaśnić, gdzie ono jest.

Przez kilkanaście minut śleczeli w milczeniu nad mapą, badając teren. Wreszcie Stanley wyprostował się z uśmiechem.

— O. K.! stary Wszystko się robi i przypuszczam, że będziesz z mnie zadowolony. Jadę natychmiast, tylko trochę przekaszę.

Gordon krzywił się już od paru minut, wyrażając tym swoją rozpacz, iż w tak ciekawej chwili musi pozostawać w łóżku, niezdolny do niczego.

— Przyjadę do ciebie, jak tylko będę się mógł na nogach utrzymać! Pilnuj się tylko w Kuweicie. Tam musi rezydować ktoś z szajki Knipperbrockera i kierować akcją. Musisz go w delikatny sposób usunąć. Ja tutaj tymczasem postaram się odwrócić uwagę Anglików!

Stanley był już przy drzwiach, gdy nagle przypomniał sobie coś i wrócił z powrotem.

— Jeszcze nie poszedł! — warknął Gordon, przybierając z powrotem arogancki i zaczepny ton.

— Chciałem się ciebie zapytać, czy może znasz niejaką Margaret Landon, Amerykankę.

— Nie! Wiesz, że kobietami się nie interesuję. Kto to taki?

— Myślałem, że może ty lepiej będziesz wiedział. Jechaliśmy razem. Wyciągnęła mi z kieszeni depeszę od Flo i w niewiadomy sposób znalazła się w posiadaniu twojej depeszy. Obie również z niewiadomych powodów oddała mi z powrotem. Interesowała się dalej wieloma rzeczami, narażając z tego powodu na szwank swój paniński wstyd, było tylko coś ze mnie wyustać!

(D. c. n.).

PALTA L. CZAPIŃSKI

Warszawa

ŻURAWIA 31,

tel. 851-01